

ARTHUR SCHNITZLER

TEN DRUGI



FIKCJE I FAKTY 4/1987

Z dziennika tego, który pozostał.

Sam! - całkiem sam...

Siedzę przy swoim biurku, palą się świeczniki... drzwi do pokoju, kiedyś do niej należącego, stoją otworem, a gdy podnoszę wzrok, spojrzenie moje tonie w ciemnym pomieszczeniu. Na szybach okien igrają lśnienia światła odbitego od domów po tamtej stronie... Jakże to nowe, jak brutalne... Ona, gdy nadchodził wieczór, zawsze opuszczała zasłony w moim gabinecie, żadne światło nie miało prawa dostać się do nas, żaden hałas z ulicy...

Mijały godziny. Chodziłem tam i z powrotem w swoim pokoju, także w jej. Wyciągnąłem się na jej tapczanie, leżałem i gapiałem się na niepotrzebny świat za jej oknami... Stałem przed jej sekretarą, trzymałem w rękach pióra, na których zachował się jeszcze zapach jej palców... I przed kominkiem wygasłym stałem, grzebałem w popiele... Syczało, zgrzytało spopielałym papierem i kawałkami węgla.

Co rano wędruję na cmentarz. Jest późna jesień z zimnym, bezczelnym słońcem i gdy z daleka widzę biały mur, pieką mnie oczy. Potem przechadzam się pomiędzy grobami i obserwuję ludzi, którzy przychodzą tam modlić się albo płakać. Zaczynam poznawać niektórych... W ich postaciach porusza mnie w sposób szczególny to, co jest dla nich typowe, wciąż się powtarzające... Dziewczyna, która upada ze szlochom pod krzyżem w pobliżu kaplicy, zawsze z tym samym szlochom, z tymi samymi fiołkami, które kładzie na wilgotnej ziemi, a gdy potem wstaje jej twarz tchnie zawsze tym samym ukojeniem... Oplakuje młodzieńca; umarł w dwudziestym czwartym roku życia, pewnie była jego narzeczoną... Zawsze nachodzi mnie myśl: jakże może znowu wstać, skąd czerpie pociechę widoczną w oczach gdy stąd odchodzi?... Chciałbym pospieszyć za nią, powiedzieć: nie ma pociechy, szalona! ...A ja, który jestem tu co dzień, czegoż właściwie szukam?... Czasem irytują mnie ci ludzie z krepą przy kapeluszu, z ciemnymi rękawiczkami... Zresztą wyglądam zapewne tak samo jak wszyscy inni, błądy i zapłakany... Och, już wiem... Jestem zazdrosny o ból tamtych, to jest tak, jak mi się zdarzało, gdy zachwycony czymś wielkim, czymś wspaniałym nie mogłem znieść zachwyty na twarzach innych. Zawistnie patrzyłem na sąsiada, wydawało mi się, że przebiegał go taki sam dreszcz jak mnie... Coś się we mnie burzyło przeciwko temu, że oni wszyscy błądzą pomiędzy grobami z tym samym niewypowiedzianym bólem... Ach, to żalodne. Wszyscy odczuwamy to samo, a potem dni toczą się dalej... Z nowymi myślami, świeżymi nadziejami, w końcu przychodzi jeszcze zwodniczo i łagodnie wiosna i kwieciami wybucha nachalnie człowiekowi w twarz... Powietrze porusza wiaterek i kwitną kwiaty i śmieją się kobiety, a my, a my, jak te dudki, jesteśmy znowu oszukani, okradzeni z naszego wielkiego, wiecznego bólu...

Najczęściej zatrzymuję się o kilka kroków od skrawka ziemi, pod którym ona spoczywa... Gdy kiedyś stanie kamienny grobowiec, zapewne będę mógł oprzeć się o zimne stopnie, pochylę głowę, będę na nich klęczał; na ziemi nie mam odwagi. Strach bierze mnie na myśl, że grudki ziemi kruszą się pode mną, słyszę - zda się - jak padają na trumnę... A jednak czasem wprost napada mnie ochota rzucić się na ziemię, rozgrzebywać ją rękami... W mojej żalobie nie ma niczego łagodnego... jestem zły, zbuntowany, nienawidzę wszystkiego i wszystkich. Zwłaszcza tych, którzy również cierpią... Tych wszystkich mężczyzn, kobiet, dzieci, pomiędzy którymi się przechadzam. Są mi wstrętnei, chciałbym ich przepędzić... Szczególnie myśl, że ktokolwiek był tu wczoraj po raz ostatni, ma dla mnie coś niewypowiedzianie gorzkiego. Wycierpiał swój ból do końca... czuł, że będzie coraz łagodniejszy... odchodził stąd z każdym dniem coraz bardziej ukojony. Aż pewnego ranka obudzi się i będzie mógł się

znowu uśmiechać... Ale pewnego ranka ja też będę mógł się uśmiechać!... Ja także zapomnę!... Odżywa dziś we mnie wspomnienie z czasów młodości... Kroczyłem przez las przy boku słodkiej, najdroższej, mogłem być nieskończenie szczęśliwy... i byłem. Są chwile, które skupiają wszystko - przeszłość, przyszłość, po prostu same są wiecznością... Nigdy jednak nie należałem do tych, którzy wędrują spokojnie własną drogą z dala od szosy, zapuszczają się od czasu do czasu głębiej w łąki i lasy, mogą położyć się w zieleni, szczęśliwi chłonąć poranek. Wspinałem się na drzewa i patrzyłem w dal, gdzie szosa niknie w szarości i wiosna zaczyna umierać... A tutaj, w tym pokoju, przy oknie, zdarzyło się, że uczułem lodowaty dreszcz, gdy żona pocałowała mnie czule w policzek... Minuty, godziny, dni, lata przeleciały, nasz czas minął... Oboje jesteśmy starzy, koniec, koniec!... Zbaczycie swoją miłość, bo pomyślałem, że musi zblednąć... Teraz bezczeszczę swój ból myśląc o tym, że kiedyś znowu będę się uśmiechał!...

Kim jest ten mężczyzna z jasnymi włosami i oczami pełnymi skargi? Kogo oplakuje? Mogiła, którą dzień w dzień odwiedza, znajduje się kilka kroków od grobu mojej małżonki... Mężczyzna zwrócił moją uwagę, ponieważ nie mogę nienawidzić go jak innych. Przychodzi wcześniej niż ja i jeszcze pozostaje, gdy ja się oddalam... Może bym nie zwrócił na niego uwagi, gdybym nie poczuł kiedyś na sobie jego spojrzenia wyrażającego tak głębokie współczucie, że niemal zadrżałem. Spojrzałem na niego uważnie; odwrócił się powoli i odszedł wzdłuż muru cmentarza... Zresztą muszę go znać... z dawniejszych czasów... Ale skąd?... Czy spotkaliśmy się w podróży?... Czy widziałem go w teatrze?... Albo na ulicy?... Zapewne odgaduje mój los i sam przeżył podobny; tylko w ten sposób tłumaczę sobie owo spojrzenie, którego nie mogę zapomnieć... On jest piękny i młody.

Teraz... gdy znowu siedzę tu, przy biurku, a przede mną stoi otoczona zwiędłymi kwiatami podobizna ukochanej, która była moją kobietą, moim wszystkim, moim szczęściem, moim światem... powoli wraca mi świadomość. Dni takie, jak przeżyte ostatnio, odbierają mi zaiste każdy jasny sąd... Mam wielkie zamiary... po raz pierwszy od wielu miesięcy chcę znowu otworzyć bibliotekę, chcę znowu spróbować czytać, postrzegać, myśleć...

Niczego nie zrobiłem. Musiałem znowu iść tam... późnym wieczorem... Samotny cmentarz. Jak okiem sięgnąć nikogo... Dziś po raz pierwszy osunąłem się i całowałem ziemię, pod którą ona spoczywa. A potem, tak, płakałem... Było cicho... powietrze zimne i spokojne. Potem podniosłem się i szedłem pomiędzy rzędami grobów ku bramie cmentarza. I nadal byłem całkowicie sam; księżyc świecił nad krzyżami i pomnikami tak ostro, że musiałbym dostrzec każdego. Widziałem kobietę, również odchodzącą, z czarnym, powiewającym welonem i chusteczką do nosa... znam już je dokładnie, te kobiety. Szeroka ulica prowadząca do miasta bielila się w świetle księżyca. Słyszałem wciąż własne kroki; nikt za mną nie szedł; długo pozostawałem zupełnie sam zanim pojawiły się pierwsze domy przedmieścia i pierwsze gospody. Nagle znowu były ludzkie głosy i kroki, i hałas. Ale były mi całkiem przyjemne i teraz, gdy po wieczornym spacerze przyszedłem do domu, naszała mnie dziwna, od dawna nie odczuwana potrzeba, by otworzyć okno, usłyszeć znowu ludzkie głosy i uliczny hałas. Ale noc się pogłębiła, na dole nastąpiła cisza... Robi się zimno; podczas gdy to spisuję, marzną mi palce, a światło drży mimo nieruchomego powietrza...

Stałem tuż przy murze cmentarza, a wysoka wierzba ukrywała mnie przed jego wzrokiem. Przyszedłem rano - najwcześniej. W domku grabarza nawet paliło się jeszcze światło. Jednak wkrótce po mnie pojawili się inni, w większości kobiety... Wreszcie on... Spokojnie szedł w kierunku tego miejsca, gdzie zazwyczaj przebywa... Wciąż te same wielkie, skarżące się oczy... Ukląkł... Spojrzałem uważnie... Klęczał na grobie mojej żony... A ja stałem z za-

partym tchem, z palcami w gałęziach wierzby... To trwało minuty... Klęczał, nie modlił się... Nie płakał także... Wreszcie podniósł się, błdził, jak zazwyczaj, wzdłuż i wszerz alejkami. Po pewnym czasie powrócił... zbliżyłem się do grobu mojej żony i stałem wsparty na kratkach sąsiedniego grobowca... Przeszedł obok mnie, spojrzał na mnie spokojnie... Chciałem go zawołać, ale nie zrobiłem tego... Widziałem, jak zbliżał się do wyjścia z cmentarza, i ciągle jeszcze stałem... Nie wiem, co czułem, co czuję teraz... Ale przyjdzie dzień, jutro... już jutro, gdy zobaczę go znowu, gdy go zapytam, gdy będę wiedział wszystko...

Co za noc! Nie mogę spać!... Zaledwie minęła północ... Przecież chcę iść tam... co mam robić tutaj, w swoim mieszkaniu... Tylko kilka godzin, a szaleństwo minie... Gdy będzie wszystko jasne... Ale do tej chwili!... Wszak to tylko godziny... Tak, tak! Na grobie mojej żony! Znowu widziałem, że tam klęczał; stałem zaledwie dziesięć kroków od niego... Dlaczego zaraz nie rzuciłem się do niego? Dlaczego pozwoliłem mu się podnieść, odejść bez przeszkód kilka kroków dalej? Co? Czyż nie mam prawa zapytać go, kim jest?... Kogo mam zapytać, jeśli nie jego?... Słyszał moje kroki za sobą, gdy szedł ku bramie... Nie myślę się, przyspieszył kroku. Ale ja też... i to zauważył. Gdy przekroczył bramę, zniknął mi na moment... Ale ja za nim... Nagle szybko odjechał powóz, jedyny tutaj... Ja za nim... Nie mogłem go doścignąć. Widziałem go jeszcze przez parę minut, bo ulica jest prosta i długa, wreszcie zniknął z moich oczu... A ja stałem...jak siedzę teraz przed tą kartką papieru... bliski obłędu... Kim jest ten mężczyzna, który waży się klękać na grobie mojej żony?... Kim był dla niej?... Jak się tego dowiedzieć?... Gdzie go odnajdę?... Nagle cała przeszłość przybiera inny kształt... Czy ja oszalałem?... Czy ona mnie nie kochała?... Czyż nie była tu setki razy za moim fotelem, nie przyciskała ust do mojej głowy, nie zarzucała mi rąk na szyję?... Czyż nie byliśmy szczęśliwi?... Kimże więc jest ten jasnowłosy, piękny, młody mężczyzna?... Dlaczego jego twarz wydawała mi się tak znajoma?... Czyż teraz nie mam wrażenia, jak gdybym go widział wielokrotnie na wprost nas w teatrze, na koncercie nie odrywającego wzroku od niej? Może to on, gdy kiedyś jechałem z nią na spacer, tak długo patrzył za powozem?... Kim był? Kim? Kim? Może adoratorem, którego nawet nie znała?... którego nawet nie zaszczyciła spojrzeniem... Ja także powinienem go znać... Przecież kiedyś musiał być w jakimś towarzystwie, próbować się zbliżyć do nas... Nie... Może mnie unikał?... Znał moją żonę, nie znając mnie... Szedł za nią ulicą.. Odważył się z nią rozmawiać... Nie! Opowiedziałyby mi o tymi... Opowiedziała!... A jeśli go kochała?... Ach, przecież kochała mnie... Mnie? Skąd to wiem? Ponieważ mówiła?... Czyż nie mówią tego wszystkie, a najbardziej fałszywe częściej niż najlepsze?... O, ja go znajdę... i zapytam... A on, nawet jeżeli był przez nią kochany, co odpowie? Chodziłem na jej grób, bo ją kochałem... ale ona nigdy się o tym nie dowiedziała... Czyż mogę z niego wydusić prawdę?... Tak... a więc co mam robić?... Żyć dalej?... Tak żyć dalej?...

Od trzech dni nie widziałem go. Byłem tam codziennie, ale się nie pokazał. Grabarze nie wiedzą, kim jest... w nadchodzących dniach będę przemierzał ulice tam i z powrotem, muszę go znaleźć... Może wyjechał?... Kiedyś musi powrócić... Musi powrócić?... A jeżeli nie żyje?... Jeżeli nie może żyć bez niej?... O, to staje się humorystyczne! Jeszcze jeden, który żyć bez niej nie może... Miałbym jedno tylko marzenie, powiedzieć mu... Mój szanowny... niech się pan za bardzo nie martwi, jak by nie było ona także mnie kochała... Tak, chciałbym go uczynić zazdrosnym. Portret jej zrzuciłem z mego biurka, leży na środku pokoju. Leżą tam także jej listy, listy, które przechowywała w swoich szafach i komodach... Bo wszystko wyrzuciłem, przeszukałem... Co znalazłem?... Listy ode mnie, wstążki, kokardy... może także kwiat od niego... W jaki sposób to poznać po kwiecie?... A cóż chciałem znaleźć?... Czy jakakolwiek kobieta przechowuje coś, co może ją zdradzić?... Szukałem też w jej sukniach, które wiszą jeszcze, mały liścik, karteczka, którą się wciska w rękę, łatwo zapomnieć... Jednak nie zapomniała niczego.

Więcej na cmentarzu nie byłem. Przejmuje mnie dreszcz, gdy pomyślę, że miałbym ponownie zobaczyć jej grób... Przychodzą minuty spokojniejsze... Skoro minęły pierwsze dni, a ja nie zwariowałem, muszę się pogodzić z tym, że prawdy nie dowiem się nigdy... Jakże zazdroszczę tym oszukanym, którzy przeniknęli tajemnicę swego nieszczęścia! Jakże zazdroszczę losowi tych nawet, których nęka podejrzenie, ale mogą nadal czuć, nadal szpiegować, oczekiwać szczęśliwego momentu, gdy niewierna zdradzi się jednym spojrzeniem, jednym słowem!... Ja zaś jestem przeklęty na całe życie, gdyż grób nie daje odpowiedzi... Czasem budzę się w nocy pośród wstrętnych snów, a wówczas dręczy mnie myśl, że może profanuję pamięć niewinnej... Jakże chętnie chciałbym nadal kochać ją, kobietę, która uczyniła mnie tak szczęśliwym... Jakże chciałbym móc nienawidzić jej, podłej, która mnie oszukała i zniesławiła... Przede mną, tutaj na biurku, stoi znowu jej portret, bo podniosłem go z podłogi i postawiłem na poprzednim miejscu... Gdyby mi było dane modlić się do ciebie, upaść przed tym portretem i modlić się jak do świętej i płakać! Gdybym mógł tobą pogardzać, zdeptać twą podobiznę!...

Całymi wieczorami, nocami wpatruję się w te milczące, uśmiechnięte, zagadkowe oczy...

Przekład EWA BRODNICKA